

Vincent van Gogh. Barwy metafizyki [TPCT 365]

Czy możemy dziś spojrzeć na van Gogha nie tylko jako zapomnianego za życia malarza, zyskującego po śmierci popkulturową popularność, ale przenikniętego pragnieniem opowiadania Ewangelii artystę, którego środki wyrazu w nieoczywisty sposób sięgały opowieści przesiąkniętej metafizyką? Czy możemy spoglądać na van Gogha nie przez pryzmat sławy, ale przez soczewkę integralności: życia i sztuki? Jak zajrzeć do treści ponad popkulturową otoczką i czy możemy van Gogha postrzegać jako adwokata metafizyki? O tym wszystkim w tym numerze!

Kto przywróci duszy to, co porwał podmuch rewolucji?

Vincent van Gogh

Doksa, mniemanie, nietrafione przekonanie. Próbując uchwycić rzeczywistość, często wpadamy w tę pułapkę tak dobrze określoną przez Parmenidesa i obrazowo dookreśloną przez Platona. Poszukiwanie prawdy stojącej za przechodzącymi cieniami, uchwycenie prawdy, która stoi u fundamentów stanu rzeczy – to wielkie pragnienie filozofów i samej filozofii, ale czy artystów i sztuki? Zadaje się, że w pewnej mierze tak. Otwarcie na metafizykę, próba uchwycenia tego przedziwnego styku nieskończoności i immanencji, dotarcia do prawdy, która niekoniecznie jawi się w sposób jaskrawy, ale właśnie gdzieś skrywa przed pierwszym przelotnym spojrzeniem, w dużej mierze organizowały twórczość wielu artystów. Myśląc jednak o XIX wieku,

rzadko postrzegamy malarzy przez pryzmat tego zmagania o dotarcie do Absolutu – są jednak wyjątki od tej reguły. Takim jest z pewnością Vincent van Gogh. Ten artysta tak często postrzegany jedynie przez pryzmat swojego życia, noszący nieco już zużytą etykietę zapomnianego za życia, którego twórczość zyskała uznanie dopiero po jego śmierci, jawi się jako praktyka filozofii i metafizyki, którego pragnienie transcendencji w świecie ujawnia się w sposób nieoczywisty.

„W naturze ukryta jest wielka tajemnica. Już samo życie jako takie jest zagadką, zagadkową rzeczywistością w samym środku innej zagadki. Kimże my jesteśmy, żeby chcieć ją rozwikłać? Jesteśmy w rzeczywistości ledwie ziarnkiem pyłku tej wielkiej społeczności, przed którą zadajemy sobie pytanie: Gdzie ona zmierza, do Boga czy do diabła? *A mimo to, słońce się podnosi* – mówi Victor Hugo” – takie refleksje snuł holenderski malarz w swojej korespondencji z ukochanym bratem. Czuć, że sprawa odkrywania rzeczywistości i próby uchwycenia jej na płótnie, nie jest rozmową o technice, o pociągnięciach pędzla – lecz odbywa się na zupełnie innym poziomie. Czuć w tym pokorę wobec złożoności rzeczywistości, która graniczy z fascynacją – a to wszystko przecież dzieje się w czasach, w których rozum zdawał się emancypować poprzez zębate koła maszyn i fabryczną taśmę. Jego malarstwo wyrastało z jego wewnętrznych przekonań, niemal filozoficznego namysłu, w którym sztuka była dla niego sposobem na opowiedzenie prawdy.

Nie jest to tak często podejmowany trop, ale sztuka van Gogha była korzeniowo związana z kaznodziejskim zapałem i pragnieniem uchwycenia tego, czym jest rzeczywistość w swej istocie. To czysta metafizyka! Dojrzały Vincent, który obrał już drogę malarza – wchodzi

na nią przecież ukształtowany swoim niespełnionym powołaniem. Oglądanie świata nie tylko poprzez pryzmat rzeczy, natury czy nawet ludzi, ale portretowanie ich poprzez inny pryzmat – ten, który zakorzenia inną rzeczywistość w doświadczalnej przygodności, zaczyna uwidaczniać się jaskrawymi barwami na jego obrazach. To wielka próba opowiedzenia świata podług Pisma. Jeżeli za św. Hieronimem z Sydonu przyjmiemy, że Ziemia Święta to piąta Ewangelia, to van Gogh chciał poprzez swoje malarstwo zobrazować cały świat i uczynić swoistą szóstą Ewangelią. Był to świadomy wybór, który dojrzywał też w pewnych okolicznościach – epoki, która mniejszą atencją darzyła w sztuce odniesienia do metafizyki. Z kolei ówczesne malarstwo religijne rodziło w nim „bolesne uczucie upadku zamiast postępu”.

Dlatego van Gogh tak chętnie sięgał do klasyków: Giotta, Fra Angelico, El Greco, Rembrandta. Rozpoznawał tam te ujęcia, które pobrzmiewały w nim przeżywaniem Ewangelii. W ten sposób często próbując naśladować, później zaś podejmując własne próby – zaczyna kreślić prostych ludzi, martwą naturę, pejzaże – w których podskórnie czuć, że to nie są tylko specyficzne i tak charakterystyczne dla jego malarskiej werwy pociągnięcia, ale kryją w sobie ładunek próby uchwycenia czegoś więcej. *Gwiazdzista noc* – zdaje się do nas krzyczyć obecnością, kto wie – może i Getsemani? *Martwa natura z Biblią* – staje się zapisem konfrontacji dwóch obrazów przygodności – może Lamentów Jeremiasza, a może pieśni sługi Jahwe z Izajasza i ówczesnej opowieści Emila Zoli. Z kolei *Taras kawiarni w nocy* – staje się nie tylko niezwykle powabnym ujęciem atmosfery w Arles – ale może wariacją na temat Ostatniej Wieczerzy? I w końcu *Łodzie rybackie na plaży w Saintes-Maries-de-la-Mer*, które wyglądają na opuszczone po tym, jak być może wysiadły z nich trzy Marie (Maria Magdalena, Maria – żona Kleofasa i Maria Salome), które zgodnie z legendą dotarły do tego portu przed wiekami.

Dlatego też w 170. rocznicę urodzin przyglądamy się fenomenowi van Gogha – jego koncepcji malarstwa, które wyrastało z jego życia i czucia metafizyki. Czym była jego sztuka: korzeniami zasadzona w kaznodziejskim zapale parafrazą Ewangelii czy płynącym z poczucia pustki wielkim pragnieniem autentyczności? Czy możemy dziś spojrzeć na van Gogha nie tylko jako zapomnianego za życia malarza, zyskującego po śmierci popkulturową popularność, ale przenikniętego pragnieniem opowiadania Ewangelii artystę, którego środki wyrazu w nieoczywisty sposób sięgały opowieści przesiąkniętej metafizyką? Czy możemy spoglądać na van Gogha nie przez pryzmat sławy, ale przez soczewkę integralności: życia i sztuki? Jak zajrzeć do treści ponad popkulturową otoczką i czy możemy van Gogha postrzegać jako adwokata metafizyki? O tym wszystkim w tym numerze!

Jan Czerniecki
Redaktor naczelny

*Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa
Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury*



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego